

NASZE ŻYCIE

ROK 1938 LUTY Nr 2

ZŁOTE MYŚLI Ks. Markiewicza.

Dzisiaj pomiędzy ludźmi, którzy skończyli najwyższe szkoły i zajmują pierwsze stanowiska w społeczeństwie, pełno grubych przesądów i jeszcze grubszych błędów moralnych, które się popełniają jawnie i bezwstydnie. Szkoły średnie źle urządzone są głównie tego przyczyną...

Zakład Wychowawczy dla opuszczonych sierot i dzieci w Pawlikowicach utrzymuje się jedynie z pracy warsztatowej wychowawców i wychowanków. Nade wszystko istnienie swoje opiera na ofiarnej pomocy Dobrodziejów Zakładu.

Szlachetny Czytelniku!

Prosimy o uiszczenie prenumeraty, — grosz ofiarny na sieroty, zgromadzone w Zakładzie Wychowawczym w Pawlikowicach. — Jałmużna nie zuboży a wyjedna błogosławieństwo Boże.

REDAKCJA.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

ANTONI ROTHE

FABRYKA ŚWIEC KOŚCIELNYCH

POLECA ZNANE ZE SWEJ DOBROCI WYROBY

Kraków, ul. Sławkowska 20.

TELEFON NR 121-74. ROK ZAŁ. 1879.

Rok XV. Nr 2

Luty

1 9 3 8.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"
POD REDAKCJĄ KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. w Pawlikowicach p. Wieliczka.

Konto czekowe: P. K. O. 404.854.

Telefon 54



W SZESNASTOLECIE PONTYFIKATU OJCA ŚW. PIUSA XI.

Ks. Br. Markiewicz wychowawca młodzieży i Narodu Polskiego

Upływa 26 lat od chwili, jak przestało bić serce kapłana, wychowawcy sierót i narodu polskiego. Duch jego żyje jednak i przemawia do nas wymową czynów, nauką dobrego przykładu.

Kapłanem tym był ks. Br. Markiewicz, proboszcz z Miejsca Piastowego.

Urodził się 3 lipca 1842 r. w Pruchniku, koło Jarosławia. Dzieciństwo jego upłynęło w domu rodzinnym, w atmosferze szczerej pobożności.

Wychowany w zasadach katolickich mógł później jako młodzieniec oprzeć się zwycięsko błyskawicznym wstrząsom, jakich doznał w czasie studiów gimnazjalnych w Przemyślu.

Pod wpływem austriackich podręczników naukowych, owianych duchem materializmu i całej atmosfery szkolnej, przesyconej racjonalizmem i indyferentyzmem religijnym, zachwiala się początkowo jego wiara, ale nie na długo.

Przed nieszczęściem utraty Boga obronił się lekturą katolickich pisarzy polskich, która przywracała mu zwolna utraconą równowagę duchową, aż wreszcie po przeczytaniu jednej noweli, pada na kolana i zaczyna się gorąco modlić:

„Jeśli istniejesz Boże, daj mi się poznać, a wszystko dla Ciebie gotówem uczynić".

O tym fakcie tak sam wyznaje: „W tej chwili napełnił mnie P. Bóg wielką światłością wewnętrzną, która sprawiła, że uwierzyłem we wszystko, co Kościół św. do wierzenia podaje i tego jeszcze dnia wyspowiadałem się z całego życia".

Taki był początek tej ognistej miłości Bożej, jaka odtąd w jego sercu wzmagała się co raz bardziej, aż najpiękniejszy swój wyraz znalazła w ostatnich chwilach jego życia, — na łożu śmierci.

Drugą po Bogu wielką miłością darzył młody Bronisław Ojczyznę swoją, zakutą w kajdany niewoli i broczącą krwią najdzielniejszych synów swoich w powstaniu 1863 r. Dlatego gorączkowo kończył gimnazjum i przygotowywał się do egzaminu maturalnego, by jak najprędzej zasilić szeregi powstańcze.

Wtem 3 maja 1863 r. na ulicach Przemyśla pojawia się jakiś niezwykły młodzieniec, ubrany w wiejską sukmanę, przepasaną pasem, z różańcem w ręku. Zbliżywszy się do gromadki studentów z 8 kl. gimnazjalnej, idących ulicą, w liczbie których znajdował się Br. Markiewicz i jego przyjaciel Józef Dąbrowski, odezwał się do nich słowami, w których zawierały się rzeczy niezwykłe, dotyczące losów świata i zmartwychwstania Polski. Jako warunek spełnienia się tej ostatniej przepowiedni podał ów młodzieniec pracę nad urobieniem wewnętrznym jak najszerszych warstw społeczeństwa oraz roztoczenie należytej opieki nad bezdomną młodzieżą.

Gorące serce młodego studenta ożywiło się radością, że Bóg nie zapomniał o nieszczęśliwym narodzie, że sprawiedliwa ręka Opatrzności czuwa nad światem. Jeżeli tak, pomyślał sobie, to należy do tego zmartwychwstania ziomków przygotować, nie z orężem w ręku, ale cichym wysiłkiem, bojem bezkrwawym. Obiera więc sobie

Trudno dziś odtworzyć wszystkie ogniwa rozumowania, powiązanego z natchnieniami łaski Bożej, które skłoniło Ks. Markiewicza do wyboru dla siebie sierocego działu w ogólnej pracy kapłańskiej. Psychologicznie rzecz biorąc 4-letnia praca profesorska w Przemyślu nasunęła mu nieraz wspomnienia o niezwykłym młodzieńcu z 1863 r.



stan kapłański, jako najodpowiedniejszy do takiej misji a zarazem odpowiadający jego duchowym potrzebom, pracuje z apostolską gorliwością przez 15 lat wśród ludu prostego jako wikariusz, a potem proboszcz. Następnie, kierując się ciągle głosem powołania, porzuca nawet godność profesora i prefekta seminarium duch. w Przemyślu, ażeby poświęcić się całkowicie wychowaniu ubogiej młodzieży.

i jego przestrogę: „Trzeba roztoczyć opiekę nad sierotami".

Bystry jego umysł, opierając się na danych statystycznych, widział także jasno, że sprawa sierót wzrasta z dnia na dzień do rozmiarów ogromu, że z roku na rok setki tysięcy młodych istot, zrodzonych w nędzy materialnej i moralnej, zostaje pozbawionych opieki religijno-moralnej. Nikt się o nie nie troszczy.

Włóczęgi bezdomne, idące na oślep i samopas przez życie, bę-

dą popychane z kąta w kąt, wypędzane z miasta do miasta, wychowywane przez ulicę i cele więzienne. W takich duszach zatleją iskry zła, nagromadzą się materiały wybuchowe dla wszystkich kataklizmów dziejowych, od których zadrży stary i nowy świat.

Ks. Br. Markiewicz chciał przynajmniej Ojczyźnie swojej zaoszczędzić tych nieszczęść. Zamiast 100,000 włóczęgów, bez domu i chleba, bez zasad religii i moralności, postanowił oddać Polsce 100,000 rozumnych i szlachetnych obywateli.

Ponieważ zdawał sobie sprawę z tego, że wychowanie młodzieży nie jest rzeczą łatwą, postanowił najpierw nauczyć się go praktycznie.

Za poradą swego spowiednika śp. Ks. infułata Łękawskiego udał się do Włoch i w Turynie w r. 1886 został przyjęty przez Ks. Jana Bosko do założonego niedawno zgromadzenia salezjańskiego. Po 6 letnim pobycie na obczyźnie, gdzie zapadł poważnie na zdrowiu, na zlecenie lekarzy, wraca wczesną wiosną 1892 r. do kraju na probostwo w Miejscu.

Pierwszą noc na nowej placówce przespał na słomie, porzuconej na podłodze w starej i opuszczonej plebanii. Budynki parafialne były zrujnowane, kościół opuszczony, parafia uboga i zaniedbana, chaty bez kominów. Nie zrażając się takim stanem rzeczy, mimo wątłych sił i późnego wieku, przystąpił do dzieła z niezmordowaną energią.

W kilkanaście zaledwie dni po swym przybyciu do Miejsca przyjmuje na wychowanie pierwszego sierotę Jędrusia, którego spotkał przypadkowo na gościńcu.

Za całe wyposażenie do rozpoczęcia wielkiego dzieła służyły mu dwa sienniki położone na podłodze i dwa prześcieradła do okrycia się w nocy.

Mimo licznych trudności materialnych liczba chłopców rosła na plebanii z każdym miesiącem. Jakie mieszkanie, takie było i pożywienie. Przez wiele dni w roku ks. proboszcz i jego sieroca rodzina za całodzienne pożywienie miała kapustę i kawałek razowego chleba, a czasem i tego brakowało.

Taki niezwykły tryb życia nowego proboszcza wcale nie przypadał do gustu parafianom.

W miarę jednak jak rozum, silna wola i opieka Boża stwarzały dzieło z dnia na dzień widoczniejsze, uprzedzenia do Ks. Markiewicza powoli znikały.

D. c. n.

K. H. Rostworowski

W nocy dnia 4 lutego zmarł Karol Hubert Rostworowski.

Odszedł ten pisarz niepospolity i głęboki, z dramaturgów naszych współczesnych największy. A jednocześnie, co jest losem tylu wielkich — za życia niedoceniony! Dwa razy tylko oddawał mu cześć cały naród: przed dwoma blisko laty z o-

kazji jubileuszu dwudziestopięciolecia pracy twórczej i na początku 1932 r. po przyznaniu mu państwowej nagrody literackiej za dramat p. t. „Niespodzianka".

Wówczas to, w homagialnym numerze „Gazety Literackiej" pięknie pisał o Rostworowskim wysoce utalentowany poeta krakowski, Józef Aleksander Gałuszka:

„Sceptr dzierżyłeś nad światem
lamp i reflektorów
trochę z rzymska i z pańska,
trochę z apostolska —
aż raz, w czasie premiery, któregoś wieczoru
wtargnęła na proscenium Polska — żywa Polska!
I kiedyśmy wzruszeni teatr opuszczali,
wyszła z nami do domów — nazbyt pospolicie —
i zszarzała, codzienna, zbyta teatralii
przerosła nas o niebo — zwykłym, szarym życiem".

Ten fragment pięknego utworu znakomicie ujmuje istotę geniusza Rostworowskiego: ujęcie problemów wielkich w sposób zwykły, prosty; pokazanie, że każdy jest tylko człowiekiem. I że najwyższą cechą wielkości jest właśnie człowieczeństwo.

Rozwinął te idee Rostworowski w dwóch swych najświetniejszych dramatach: „Judasz z Kariothu" i „Kajus Cezar Kaligula". Umyślnie wybrał z historii dwie postacie najbardziej odrażające: największego zdrajcę i rozpustnego tyrana. Na obu potomność wydała wyrok druzgocący. Nie podejmował Rostworowski próby zrehabilitowania ich. Chciał jedynie pokazać, że oni również byli ludźmi. Tylko ludźmi. Że nie obce im było cierpienie i nie obce nawet chwile wzlotów.

„Człowiecze serce któż rozsądzi?
Mało złych, wiele nieszczęśliwych.
Ja przeciesz... także człowiek!..."

Mówi Judasz. A nad trupem, Kaliguli powiada Demetriusz: „To tylko człowiek".

Oto największe, najbardziej ludzkie, prawdziwe chrześcijańskie dzieło Rostworowskiego: odnalezienie w spodlonym zdrajcy lub zezwierzęconym tyranie człowieka.

Większość dramatów, których stworzył ogółem około 20, pisał Rostworowski wierszem. Ponadto pozostawił po sobie wiele artykułów, recenzyj i rozpraw, kilka poematów i zbiorów wierszy. Ostatni, wydany w 1931 r. odznaczający się dojrzałością talentu i głębią myśli, zbiór p. t. „Zygzaki", zajmuje w liryce naszej poczesne miejsce. Obok jednego z najgłębszych w literaturze polskiej liryk religijnych p. t. „Confiteor" znajdujemy tam piękny, ujmujący prostotą i bezpośredniością wiersz p. t. „Powrót", z którego przytaczam początek:

„Do Twego żłóbka, Boże Dziecię,
wiodła mię gwiazda: matka.
I nie wiedziałem nic o świecie
w granicach mego światka.
I nie wiedziałem nic o świecie,
któremu są już obce
kolędy, grane na klarnecie
i Bóstwo w cichej szopce.
I byłeś dla mnie tak prawdziwy
jak braciszkowie moi,
tylko żeś miał robić dziwy,

których się każdy boi.
Bo nawet ojciec mój kolana
zginął i chylił czoło
i w Tobie, dziecku, widział Pana,
choć panem był wokoło".

Oprócz swej niepospolitej twórczości zasłużył się jeszcze K. H. Rostworowski dla Polski czynną pracą, jako członek rady miejskiej w Krakowie. W stosunkach z bliźnimi ujmował niezwykłą serdecznością. Był wprost nieprawdopodobnie, jak na tak wielkiego człowieka, przystępny i bezpośredni. Nie miał w sobie nawet cienia tej wyniosłości czy choćby tego poczucia własnej wyższości, jakie mogło mu dać zajmowane wysokie stanowisko w hierarchii naszych luminarzy.

W tej jego pokorze tkwił pierwiastek wielkości. Człowiek stanął na jednej wyżynie z twórcą.

Wiesław Pyrek.

Moja piosenka

Nie mogę napisać wiersza,
Chociaż oddawna mię nęka.
I cóż, że go czuje w piersiach?
Nietwórcza jest moja męka.

I cóż, że dojrzewa w smutku,
Jeśli ten smutek go zwarzy?
Blady wiersz jakiś powstanie
Bez iskry, co ducha żarzy.

W miłości smutek zagubię,
Sercem przypadnę do ziemi,
Wyszeptam słowa serdeczne,
Od których wiersz mi się zmieni.

Natchnieniem buchnie ku górze!
Słabości już się nie lęka:
Moc ukochania go wzmoże. —
— Oto jest moja piosenka.

Wiesław Pyrek.

„Pan dał, Pan odjął..."

— Franek!... ten fotel będzie naprawdę pięknie wyglądał — odezwał się rozespany Bełtowski — przeciągnął się i znowu puścił ręce w zawrotny ruch owijania.

Nikłe, szaro-czerwone światło ślizgało się po schylonej twarzy Franciszka, który wyrwany z zadumy spojrzał w stronę mówiącego. Twarz jego, dotychczas skupiona, zaczęła przybierać wyraz dumy a zadowolenie, które wypełzło gdzieś z głębi duszy — osiadło w kącikach ust. Przymrużonym okiem — jak artysta badał wykańczany sprzęt.

— Ale parno... żeby choć deszcz nie chciał padać... — przerwał Franciszek.

— Jutro odpust... Oj! ludzi będzie co niemiara a... i w zakładzie bal... półsennie dorzucił Bełtowski.

Rozmowa rwała się im, jak nić śpieszącemu się krawcowi.

— — — — —

Po kątach koszykarni drzemał skulony półmrok. Sen, z nocą w braterskim uścisku skrzydłami swymi otulał Zakład. Tylko tu i tam migała dopalająca się lampa, za chwilę... gasła i

ciemność równała falistą grę świateł.

Od granatu nieba odbijał się pióropusz dymu, który stale jeszcze snuł się z kuchennego komina.

Cisza... panowała.

Cisza stanowi asylum dla samotnika, ale czasem cisza kryje w swym łonie upiora obawy i lęku.

— — — — —

Księżyc przeżeglował już pół nieba, a niektóre gwiazdy wypalały się i gasły już na nieboskłonie, gdy z głównego domu biegł a właściwie leciał, puściwszy na wiatr poły surduta, chłopak. Oczyma pełnymi strachu szukał świecącego się okna wśród nowych zabudowań zakładowych.

Nikły blask bił tylko z okna koszykarni, tam skoczył, spazmatycznie szarpnął drzwiami i krzyknął:

— Pali się!... — bojaźń zamknęła mu usta, gdy ujrzał strach i rozpacz na poradlonych twarzach starszych.

— Gdzie się pali?!... — wrzasnął Franciszek.

— Gdzie?!!!... — z drżeniem w głosie wołał Bełtowski — i wszyscy trzej byli już na podwórku przed domem. Wiatr rześki niósł hen... od pól aromat sian i zbóż. Niebo iskrzyło się gwiazdami, błogostan panował w naturze. Dom — drewniany Zakładu zaczął się budzić, ruszać, a od czasu do czasu ktoś krzyknął przerywając milczenie nocy.

— Franek! pędźmy prędko na strych, bo przez dach widać już ogień — krzyknął Bełtowski.

Na korytarzach stali już bezradnie skuleni grupkami chłopcy — okryci tylko w bieliznę. Dach domu-zakładu — jakby okryty tiulem — dymił. Trzask belek i krokwi ostrzegał przed zbytnim zbliżaniem się do płonącej żagwi.

Jasność biła daleko.

Przy rozgorączkowanym zakładzie gromadziło się coraz więcej ludzi. Ten i ów biadał, inni opowiadali o pierwszych chwilach pożaru, o łunie, kobiety lamentowały jak po stracie najdroższych.

— Jezus! Maryja!... Boże miłosierny!... mieszało się z trzaskiem, łomotem, a ogień szedł — jak zły duch — w chmurze dymów. Dom - zakład wydawał się teraz być olbrzymią pochodnią dobrze oblaną smołą, która od czasu do czasu wydawała trzask zadowolenia.

Czerwone języki ognia lizały już belkowe ściany, gdy z okien domu a właściwie ze szczelin ognistych wyrzucano resztki sprzętów — nie chcąc ich złożyć w darze żywiołowi. Schronisko nędzy zaczęło się rozpadać — starsi mieszkańcy domu mieli w swych oczach i postawie coś, co walczy z nieubłaganym żywiołem.

Żywioł w chaosie szumów, świstów i syków tarzał się — mknąc w tysiącznych kształtach płomiennych grzyw.

Nagle... z łomotem i trzaskiem zagrzebał się w skier kurzawie dach. Kłębowisko czarnego jak noc-dymu pomieszanego z ogniem — trwożyło i mroziło.

Straże ogniowe strumieniami wody gasiły wściekły ogień i

coraz wyraźniej uwidoczniały żebra-zgliszcz.

Dzień zajmował już posterunek nocy, gdy wśród zgliszcz przysłonionych woalem sinego dymu zawsze ktoś był i jak demon pierzchającej nocy rozrzucał zwęglone bele.

— — — — —

Dom bezdomnych, stworzony rzemiosłem nędzarzy, stał teraz jak nędzarz okryty łachmanem zgliszcz.

— — — — —

Dzień zapalał się hen gdzieś na horyzoncie, czar aury lipcowej upajał i mamił, ciszę przerywał tylko szczebiot ptactwa, tak delikatny jak muskanie strun. Drogą do Zakładu szedł ksiądz z brewiarzem w ręku, trochę pochylony, o przyprószonych siwizną włosach, twarz poradlona, choć przystępna i miła.

Oczy iskrzące, pełne życia, były obrazem spokoju dziecięcia i powagi anioła. W kącikach ust uśmiech mieszkał stale, a pod kopułą czaszki nigdy nie było rozkiełzanej myśli. Był to duch raczej niż ziemski mieszkaniec.

Promienie słoneczne składały pocałunek pokoju na łąkach, kwiatach, budzących się strzechach, lustrach wód a nawet kilka złotymi nitkami muskało spaleniznę belek i igrało z płomykami ognia, które tu i ówdzie wyciągały swe języki.

Zgliszcza żebrały przebaczenia uśmiechającej się natury, z którą były w kontraście. Wzrok księdza — a był to O. Bronisław Markiewicz — spoczął na ruinie. I ślizgał się z belki na belkę, ze zniszczonego okna na wyrwane drzwi lub sprzęty-kaleki. Myśl robiła rachunek



Pawlikowice. Raport harcerski

sumienia, przypominała, kojarzyła z innymi myślami i w pamiętniku wspomnień pisanych czasem łzami, szukała przeszłości. — Serce i mózg pracowało, ale na twarzy nie można się było dopatrzeć ani cienia tej pracy. Syntezą tej chwili zamyślenia były cztery słowa: „Pan dał, Pan odjął..." Słowa te stały się mostem łączącym ducha z du-



Pawlikowice. Przy ognisku.

chami, ziemię z niebem, a człowieka z Bogiem. Pogoda natury harmonizowała z krainą ducha Tego człowieka.

— — — — —

I choć dom materialny spłonął, życie domowe w Zakładzie płynęło dalej stałym, utartym korytem.

Dzwonek wyrwał z uśpienia i z zadumy wychowawców i dzieci...

Znowu krzyki i płacze, żale i utyskiwania wkroczyły na forum zakładowe. Ten nie ma czapki, ów spodni, temu spalił się obrazek znad łóżka... i tak bez końca.

— — — — —

Dzień był świąteczny, odpustowy.

Twarze wszystkich zmęczone, nieprzespaną nocą, zbolałe stratą, były zimne i nijakie. Bezżycie owładnęło Zakładem. Wreszcie — jak snop światła rzucony w noc ciemną — zjawił się O. Bronisław Markiewicz. Zawsze Ten sam, miły, przystępny. Nawet cień zmarszczki nie osiadł na Jego twarzy. A na zbolałe serca swoich dzieci wylał krople balsamu tych słów: „Pan dał, Pan wziął".

Na śnieżnych szlakach

Rozszalała się na dobre zawieja ogromna...

Mątwą śnieżną, wyciem wichru, dziwnymi jękami wypełnił się świat cały.

Straszliwy huragan przybierał coraz bardziej na sile. Pędził olbrzymie ilości śniegu, zasypywał nim rowy przydrożne i zagłębienia terenu, czynił fantastyczne zwały i zaspy. To znów rwał je w kawały, miął, gmatwał w potężnych skrętach, wznosił do góry i nagle, całymi słupami śnieżnymi, jakby jakimi młotami, walił w zmarzniętą ziemię. Zgłuszył i zawładnął niepodzielnie wszystkim, co żyło na ziemi. On okazał się, przynajmniej na chwilę, władcą przestrzeni — ziemi.

Po kilku godzinach wichura poczęła słabnąć, łagodnieć. Jeszcze to tu, to tam silniejsze podmuchy przeciągnęły, porywając za sobą strzępiaste ogony śnieżne...

W końcu wszystko ucichło.

Zza szarych mgieł ukazało się biało-jaskrawe słońce...

Jak okiem sięgnąć ciągnie się białe pustkowie.

Tysiączne chmurki brylantowych gwiazdek migocze się w powietrzu...

* * *

Na jaśniejącym w słońcu puszystym kobiercu śnieżnym wiją się dwie linie, równoległe prawie...

Nieco dalej podobne ślady...

Biegną one gdzieś w słoneczno — błękitną dal.

Wznoszą się lekko po pochyłości najbliższego pogórka, zapadają, to znów się wznoszą...



Jacyś dwaj śmiałkowie już się wybrali „na narty"...

Szukają oni, na łonie piękna natury, przygód, wrażeń, hartu, zdrowia, siły i szczęścia!

Zjawią się jeszcze na moment w oddali i znikną, podobni do zwinnych mar sennych.

Popłynęli w dal nieznaną...

Życie znajdują tam, gdzie zda się ono zamierać.

* * *

Przecudny dzień zimowy... pogoda śliczna, łagodny wietrzyk

ciągnie od wschodu — zapowiedź stałej pogody na dłuższy czas.

Rozsilona tysiącami załamań diamentowych błysków ziemia zaprasza do przechadzki, do podziwiania jej piękna.

Nie podobna usiedzieć w domu... Pola uśmiechają się do nas niewinnością swej bieli, lasy tajemniczym swym wyglądem i barwą...

Weszliśmy w jego obszar...

Na każdym kroku niespodzianki...Co chwilę to oczom naszym ukazuje się nowe piękno a coraz to inne...

Zaraz na wstępie grab, uginający się pod przedrogim ciężarem biało-srebrnym, zaprasza wytwornym gestem, swych gałązek oszronionych, do wnętrza królestwa — zakątka piękna.

Nieco dalej, lipa i brzoza — królewne lasu czarują zawojami swych bogatych płaszczy, tkanych złotem... obsypanych nieprzeliczoną ilością diamentów. Smukłe i wzniosłe czekają na wezwanie królewskie, by raczyły pójść w jego orszaku.

Tuż za nimi jakby dla ozdoby i tła stoją rzędem świerki, z ugiętymi w girlandach gałązkami, tworzą wyczarowaną kolumnadę kryjącą w swym cieniu tajemnice nieznane nikomu...

Sosenki młode przybrały świetne szyszaki i płaszcze paradne, by tym godniej mogły spełnić straż przyboczną swego pana.

Wreszcie i dąb — król lasu, stoi już gotowy, ale jeszcze nie daje znaku do pochodu.

Majestat i powaga i łagodność zlały się razem i czynią go groźnym panem i sprawiedliwym sędzią, a zarazem dobrym ojcem.

Czcigodną swą głowę przyozdobił koroną, bogato perłami i diamentami wysadzoną. Berło i jabłko — oznakę władzy podają giermkowie; drogocenny płaszcz włoży tuż przed rozpoczęciem pochodu, narazie trzyma go oddany „szatny królewski".

Wszystko czeka...

Całe piękno, na jakie wysiliła się natura, *czeka na człowieka,* — króla wszelkiego stworzenia, by wraz z nim, w harmonii piękna, wzlecieć ku „nieskończonemu Pięknu".

Tylko dla ducha, miotanego niespokojem, zakłóceniem wewnętrznej harmonii, piękno to natury nie przemawia, nie pociąga, owszem zdaje się być urąganiem, niemym wyrzutem, lub wzgardą...

On tam byłby dwakroć nieszczęśliwy...

* * *

Wicher dmie od dalekiego oceanu. Igiełkami lodowymi siecze zmarzłą powłokę śnieżną.

Ziąb ogromny...

Gdzieś spoza zaspy śnieżno-lodowej wynurzył się szereg kilkunastu par psów, ciągnących dość długie saneczki, na których siedziało dwu ludzi starannie owiniętych w futra. Gdzie oni jadą?... Na łowy?... Poszukiwanie złota?... Na poszukiwanie swego szczepu, swych umiłowanych?... A może to są łowcy dusz, którzy się zapędzili za swoim łupem aż na pola podbiegunowe? Ich nie przestrasza, ani odwieść od swoich wypraw nie może, bo im piękno, miłość

dusz, i ich szczęścia, rozpiera serca i sił dodaje. Nie przerażają ich: mróz, zawieje, złowrogi świst wiatru podbiegunowego... W dziwacznych skrętach węża, omijając wyrwy, zaspy, strzeszowiska lodowe, zniknęli, kierując się na północ.

Na *piękno* duszy człowieka czeka *piękno* natury... Pierwsze wzbudza to drugie, lub wszędzie się go dopatruje. *W. P.*

Biała rozpacz

— Czy tak być może? — zapytasz ze zdziwieniem.

— Pewnie jest i *czarna* rozpacz, ale ta ma swoje czasy. W zimie jej być nie powinno. Natomiast ogarnia człeka ta *biała,* gdy na świecie *nie jest biało,* choć to styczeń, czy luty, ale czarna ziemia wygrzewa się do słoneczka zimowego...

— Zima, to rozumie się zima! *Śnieg chrzęści* pod nogami, cały świat w bieli, *mróz w uszy szczypie...* Wtedy nie ma miejsca dla białej rozpaczy!

— Trzeba mieć jednak nielada *pecha!* Dostajesz, bracie, narty w prezencie, dusza się rwie do sportowych przygód, a tu wstajesz rano — i oczom nie wierzysz. Z dachu *woda* kapie! *Odwilż!* Narty w kąt, a ty żyj przeszłością, *wspomnieniami*... O nie tak to było przed laty, zimy bywały srogie, prawdziwe zimy...

— Pamiętam... W zakładzie odchodziły *tylko sanki* — innego sprzętu sportowego ani śladu. Jeździł, kto żyw! Duży, mały, stary, młody — *bez wyjątku.* Taka była tradycja.

Aż tu razu pewnego zjawił się nowy gość w zakładzie... *narty!* Dzień to był epokowy, sensacja niezwykła! Któryś stolarz, mający głowę na karku, podpatrzył gdzieś w sklepie to nowe cudo i *sfabrykował* pierwsze deski... A jak one wyglądały! Deski to wprawdzie były, ale jakie! Grube, ledwie na końcu trochę zakrzywione, pasek skórzany na włożenie weń trzewika, a na obcas blachy podgięte!

W takie „obroże" zakładałeś nogi i jazda w dół. Ale trzeba przyznać, że były one praktyczne, szczególnie dla początkujących. Gdy czułeś, że bierzesz za silny rozpęd i nie zatrzymasz się aż w rowie na dole — świetna była rada: *wyskoczyć z nart!* Parę sążnistych kroków przed siebie i gdyś się utrzymał na nogach — chwytałeś uciekające narty. Nie zawsze jednak złapać było można, zwłaszcza, gdy „skok" nie był udany i trzeba było *nosem hamować.*

Podwójna kara spotykała niezdarę, bo i narty figla płatały, zmykając w dół szalenie. Gdy ich ktoś w drodze nie wstrzymał, trzeba się było na dół fatygować i szukać...

Nowość jednak porywa! Wnet pojawiły się nowe egzemplarze „desek" z ciągłymi ulepszeniami. „Zjeżdżone" bywały *grzbiety* nie tylko pagórków, ale i zapalonych narciarzy podczas przymusowych lądowań i kozłów, ale młode kości wiele wytrzymać potrafią.

Lecz czasem gorzej jeszcze bywało. Byłem raz świadkiem

pewnej przygody, niezwykle komicznej, z pewnym jednak odcieniem tragizmu. Dźwigając narty na ramieniu, lub się nimi podpierając, wydrapało się kilku na wzgórze o zboczu najmniej półkilometrowym. Iść trzeba było najmniej *15 min.*, ale zjazd za to trwał niespełna *minutę*... Po lekkim odsapnięciu wszyscy ustawili narty szeregiem i zaczęło się zakładanie nóg. Nagle urwane: „o jej" wyrwało się któremuś. — Co się stało?! — Oto Staszek tak



nieszczęśliwie stanął w jednej narcie, że się poderwał i usiadł w miękim puchu, ale tymczasem jego „bieguny", korzystając ze sposobności — szybko ruszyły w dół, na dobitek obie w inną stronę. Okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Staszka, zerwał się pędząc za jedną nartą... Gdy wtem — nowy pech. But jeden, trochę za obszerny *utkwił w śniegu,* uniemożliwiając dalszą pogoń... Cóż miał biedak robić, trzeba się było wrócić, założyć „chodaka" i w wolniejszym już tempie ruszyć na poszukiwanie zbiegów.... A wszystko to odbyło się przy rozgłośnym akompaniamencie śmiechów reszty narciarzy i przyglądającej się gawiedzi.

Wkrótce *Kronika* zakładowa zanotowała nowe „wynalazki" narciarskie. Pojawiły się pierwsze *wiązania* (owoc spółki ślusarsko - szewskiej), a do nich *„kijki"* zwykle leszczynowe, dołem silnie okute. Jak czasem *ugrzęzły w ziemi* pod śniegiem, zostawały w drodze, bo przy ich wyciąganiu nikt nie chciał ryzykować wywrotu. Sterczały więc samotne na szlakach białych, a narciarz, nie mając się czym podpierać przy wyjściu na górę, brał *narty na ramię* i powtarzała się stara historia.

Byli jednak spryciarze, którym kijki służyły do innego celu. Zwykle ambicją każdego narciarza było zjechać bez wypadku ze strony zbocza, zwanego „wyciętym lasem". Com się natrudził — i zawsze bez skutku. Na dole bowiem samym było duże zagłębienie, na którym zawsze przy silnym rozpędzie następował mimowolny „skok", a potem tylko głuche *stuknięcie...* W pierwszej chwili widać byłko tylko tuman *śnieżnego pyłu,* po czym gramolił się z niego *wybielony* śmiałek.

Mój kolega Tadzio potrafił jednak zjeżdżać *cało*. Zawsze ruszał ostatni *(skromność)*, a gdy inni zbierali na dole czapki i kijki po śniegu, on z miną tryumfującą zjeżdżał *powoli* wprawdzie, ale *szczęśliwie*. Nadziwić się nie mogłem jego zdolnościom narciarskim — aż razu pewnego udało mi się *odkryć tajemnicę!*

Gdy inni ruszyli na dół, udałem, że mi się narta zepsuła. Z wielką uwagą „naprawiam", a nasz Tadzio, widząc, że jestem cały tym pochłonięty — ruszył przed siebie. Na to tylko czekałem! Patrzę i *oczom nie wierzę...* Tadzio *usiadł na kijkach* (jak chłopcy, bawiący się w konie) i *hamował* tak ostro, że pył śnieżny prawie go całkiem zasłaniał. Dopiero przy końcu zjazdu wziął *kijki do ręki* i jeszcze się podpychał...

Tu cię mają — pomyślałem. Na dole tymczasem powtarzała się stara historia... każdy szukał swego.

Podziwiać jednak trzeba *praktyczny zmysł* wynalazcy. Taki *da sobie radę w życiu... Izet.*

KRONIKA

ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Pawlikowice, kronika za styczeń.

1938 rok...! Z jaknajwiększym respektem stawam przed Nowym Rokiem — „obcasy ściągam", pas poprawiam i melduję posłusznie, że przez cały rok postaram się pisać solidnie kronikę.

W Nowy Rok weszliśmy po Bożemu, czyli uroczystymi nieszporami zakończyliśmy Stary Roczek.

Horoskopy na „Nowy" zapowiadają się dość pomyślnie, gdyż w myśl przysłowia, że „ten najszczęśliwszy, kto ma dużo przyjaciół"... „Nowy" już w pierwszych dniach swego włodarstwa zesłał nam miłych gości-przyjaciół; Otóż 2. I. raczył nas łaskawie odwiedzić wielki nasz przyjaciel, przyjaciel zwłaszcza sierot i dzieci opuszczonych JWP. Radca Mgr. Janusz Bandrowski wraz ze swą córeczką.

Po szczegółowym zwiedzeniu całego Zakładu, dostojni goście udali się do „nowej sali" na Jasełka, które w tym dniu zostały odegrane z nadzwyczajną werwą. W wielkiej tajemnicy zdradzę, że ponoć p. Radca przyjechał zbadać, jak się sprawują jego słuchacze z Kursu Pedagogicznego, którzy na egzaminach „cudów waleczności" dokonali (!??!?). W dniu tym t. zn. 2.I. przybyło również z Krakowa kilku miłych gości: OO. Franciszkanie i OO. Kapucyni.

Wspomniałem o Jasełkach — należy dodać, że zostały one odegrane w każdą niedzielę miesiąca stycznia i cieszyły się nadal liczną frekwencją, z której najwięcej zadowolenia okazywał Imć. pan „chudy" Walek.

Horoskopy na nowy rok niby miały być dobre — Niestety — ot! nowe zmartwienie! Pewnego pięknego poranku w połowie stycznia, nasze dzielne plemię narciarzy, zobaczyło szybko znikający (jak kiełbasa u Walka) śnieg, który w sposób bezwstydny, ot, tak sobie bez wszelkich zasad przyzwoitości — koncertowo topniał w oczach. Podobno nawet nie darował Krakowowi, gdyż jak donoszą:... „Na ulicach Krakowa błotko bezkonkurencyjne; auta rozpryskują je z niebywałą pasją — oczywiście w kierunku przechodniów..." Na pocieszenie Krakowowi mogę wspomnieć, że i u nas w Pawlikowicach zrobiło się miłe i sympatyczne(?) błotko tak, że dwie pary koni nie może wozu z niego wyciągnąć. Ponad to w związku z tym „miłym" błotkiem grypka i chrypka oczywiście atakują różne osóbki, które

ku swemu wielkiemu zmartwieniu muszą wchłaniać w siebie niezliczoną ilość ślazu, białka, lipówki — i co najgorsze, że mało „muszą gadać" — przynajmniej innym nie dokuczą języczkiem.

Naczelny nasz narciasz imć p. Edy 2-ga imion — z osowiałą miną co rano bada dach sąsiedniego domu warsztatowego, czy też przypadkiem nie „świeci na biało" — potem z tkliwością zwraca swój wzrok na „dechy", które w niemniej czuły sposób odpowiadają ze swego kąta (koło drzwi) uszczęśliwione, że się je nie męczy (dosłownie!) karkołomnymi(?) zjazdami na coraz to nowych torach (sic!)



Pawlikowice. Przyrzeczenie harcerskie

Boleść i żałość po stracie śniegu osłodziła nam kto?... cukrownia w Przeworsku, która domyślając się słabawego i nieskompletowanego stanu naszej spiżarni, przysłała nam worek cukru. Serdecznie dziękujemy P. T. Cukrowni za „już" i prosimy o dalszą łaskawą pamięć.

Pomyślałby kto, że wszyscy znowu potrzebują „osłody" po stracie śniegu — wcale nie!! — Otóż w pierwszym rzędzie Ks. Dyrektor z zadowoleniem słucha wiadomości meteorologicznych, które podają, że „stan pogody zmienny — temperatura waha się od 4—8° powyżej zera..." dlaczego? — bo nie potrzebuje tak dużo węgla kupować — a pieniądze (których jest zwykle u nas „bardzo dużo") może obrócić na ważniejsze potrzeby, których jest też bardzo dużo — ale już nie w cudzysłowiu ani w nawiasie! —

Również i warsztaty stolarskie wcale, a wcale nie tracą fantazji; bowiem podczas gdy narty poszły w kąt — na maszyny i warsztaty „włożą" nowe zamówienia — podobno nawet aż z województwa wołyńskiego.

A propos stolarni — to mam wrażenie, że śmiało może rywalizować z Miejscem Piastowym. Powiedzmy sobie tak: — M. Piastowe ma sławne warsztaty mechaniczne, a my w Pawlikowicach mamy doskonałą stolarnię — zgoda?!

W ostatnich dniach stycznia t. j. 29. I. obchodziliśmy uroczystą akademią rocznicę zgonu naszego O. Założyciela Ks. Br. Markiewicza.

Hallo! Hallo! — P. A. T. (Pawlikowicka Agencja Telegraficzna już po zamknięciu redakcji) donosi: — Legendarny, a raczej już historyczny

„Walek z Jasełek" dostał — co? — obiecaną kiełbasę. Ogromnie się ucieszył. Gębusię odrazu wpakował w głębiny „przysłanego bagażu". — Słowem był zadowolonym! Jednak... nie na długo... bo skoro tylko „bagaż" znikł w przepastnej „komorze celnej" — zacny nasz Waluś... o mało się nie „roztkliwił" na „wilgotno"... bo mało! Ohyda! — prawda? — to tylko uchodzi i może uchodzić Walkowi — myślę, że mu wszyscy wybaczymy jego „powściągliwości"...

Swoją drogą — „nieszczęśliwy" Waluś dziękuje serdecznie za „już" i prosi o „jeszcze". **Kronikarz**

wiersze i Jasełka. Już na parę dni przed tym odczuwa się stan podgorączkowany (coś około 39° z kreskami). Dom przenicowano, przeprano (choć to zwykle się robi). Pięknie, według pomysłu i pod osobistym dowództwem Ks. Dyrektora, ozdobiono w barwy papieskie i narodowe. Zieleń, kolory, girlandy — stwarzają istną bajkę o... czarownym zamku. Nad wejściami widniały podniosłe napisy: „Witaj nam Arcypasterzu" i „Błogosław nam"... i t. d.

16. I. Już od wczesnych godzin popołudniowych zaczęli się zbierać goście na przywitanie Arcypasterza.



Lwów. Najprzewielebniejszy Arcypasterz J. E. Metropolita Twardowski odwiedził nasz Zakład.

Lwów.

Ta joj!

Długo już nie pojawiało się to słowo na łamach „N. Ż.". Różnie można by ten fakt tłumaczyć — jak to bywa — nadmiarem pracy, brakiem materiału... do pisania, ale jedno zdaje się będzie pewne — zwyczajna skromność i mało — mówność. A milczenie ponoć jest złotem — lecz i srebro się przyda...

Ale zacznijmy kronikę. Oto otrzymujemy wiadomość od Ks. Dyrektora, że Ks. Arcybiskup Twardowski zapowiedział odwiedziny zakładu na 16 stycznia. Chce widzieć chłopców: co oni potrafią. Na bok gheta i żydy, bo teraz ważniejsze sprawy — trzeba przygotować „fajne" przyjęcie. Naturalnie śpiewy,

Przybyli: X. Generał Tow. Św. Mich. Arch. X. Antoni Sobczak, X. kanonik Dr. Gerard Szmyd prob. parafii św. Marii Magdaleny, X. kanonik Matus, prob. parafii św. Elżbiety, X. kan. Knopiński, X. Kozłowski, katecheta szkoły im. Konarskiego, dyrektor szkoły p. Balicki i i.

W bramie zakładu oczekiwali wychowankowie z X. Dyrektorem A. Andreasikiem na Najdostojniejszego Gościa. O godz. 15.30 przybył X. Arcybiskup w towarzystwie ks. Prałata Hałuniewicza Kanclerza Kurii Arcyb. oraz osobistego sekretarza X. Słoneckiego.

Ks. Arcypasterz wraz z gośćmi przybyłymi zatrzymał się w środkowej sali zakładu, gdzie krótko, ale serdecznie powitał Go X. Generał A.

Sobczak dziękując za specjalne względy, jakie okazuje Ks. Arcybiskup dla naszego Zgromadzenia i prosząc o pasterskie błogosławieństwo. Na to odpowiedział Czcigodny Arcypasterz wskazując na chlubną i owocną pracę XX. Michalitów w społeczeństwie a specjalnie na Kresach. Po czym udzielił zebranym błogosławieństwa pasterskiego. Następnie chór chłopięcy odśpiewał 3 kantaty, a wychowankowie wygłosili serdeczne wiersze, wśród których odznaczył się Zbyszek 18-letni orator, który donośnym głosem bez przytomności, powitał Dostojnego Gościa. Po podwieczorku Arcypasterz wraz z gośćmi udał się na Jasełka, grane przez wychowanków zakładu.

Jasełka barwne, żywe, spotkały się z uznaniem. Szczególnie zachwycały gości śpiewy chóru dziecięcego. Gra Heroda miejscami ścinała krew w... grającym, a dziarska postawa 10-letnich żołnierzy stawiła przed oczy nieśmiertelnych bojowników z 1918 r. — Orlęta.

Był to niezapomniany dzień dla nas, a gorące słowa Arcypasterza: „Zakład, który zastępuje wam dom rodzinny, ukochajcie a słuchając swych Przełożonych wyrośniecie na dobrych synów Kościoła i Polski" — wyryły w duszach młodych niezatarte ślady.

I chociaż życie weszło już na stare, monotonne tory szarzyzny dnia... lekcje... lekcje..., to jednak podniosła atmosfera czegoś, co pozostaje na długo — unosiła się wśród pozostałych dekoracji a Zbyszek do Ryśka szeptał: „jak to ks. Biskup pogłaskał mnie po głowie, a jaki dał obrazek — a tobie co?"...

Zdawałoby się, że spokojne życie długo będzie czekać na coś niezwykłego, aż tu pewnego dnia pada w refektarzu z wyżyn pierwszego stołu jak przeraźliwy zgrzyt po szybie, rozporządzenie X. Dyr.: „wszyscy mają obciąć włosy na „O". Kto nie przeżył wojny i nie widział manifestu ogłaszającego rozpoczęcie wojny światowej, ten nie może wyobrazić sobie wyrazu twarzy, zwłaszcza tych I-klasistów „numerowanych" którzy z taką troskliwością co noc bandażowali ręcznikiem głowę, gwoli nadania „fasonu", a zwłaszcza gdy pielęgnowana grzywka była z rodzaju owłosienia pewnych zwierząt domowych i „bez kużdy przymus" nie chciała się układać według życzeń właściciela. Po wielkich narzekaniach maszynka poszła w ruch. Bójcie się Boga ludzie, formalnie de facto, co się dzieje teraz, przed wojną było też panie... ta ja wim co bałakam i t. d.... Sz.

Wykaz ofiar złożonych na Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach:

Zł.: P. T. Zarząd Koła Prz. Zw. Strz. Wygnanka Górn. 5.—; P. T. Chłodnia i Skł. Port. w Gdyni 10.—; Ks. Prob. Wilhelm Krzak — Michalcze 2.—; WP. Inspektor Szzkolny Dubieński 1.70; WP. Bohruski Emil z Lublina 5.—; WP. Bala Franciszek z Rabki 1.—; WP. Ścigalski Karol z Wieliczki 2.—; WP. Karpowicz Adam z Zakopanego 1.—; WP. Kopera Piotr z Wieliczki 10.—; WP. Berski Włodz. wł. Dóbr w Tylmanowej 5.—; WP. Dziubacki Feliks z Zameczka 2.—; WP. Podsońska Maria z Zakopanego 1.—; WP. Dr. M. Dzerowicz ze Lwowa 1.—; WP. Dr. med. Lipiński Zygmunt — Hołoby 1.80; WP. Kliszewicz Adolf — Tarnowskie Góry 4.—; P. T. Polska Chiozza — Tczew 5.—; Ks. Prob. Bielski Dyonizy z Juńcewa 1.—; Ks. Prob. St. Kaczorowski z Poznania 2.—; WP. Al. i M. Hejnowicz z Gostynia Wlkp. 1.—; WP. Stasiński Bogdan z Tczewa 5.—; WP. Dłubonowski Kazim. z Sosnowca 2.—; P. T. F-ma „Padab" z Torunia 2.—; P. T. Mleczarnia w Tczewie 1.—; Ks. Bozowski, Gimn. Zgr. SS. Najśw. R. z Rabki 2.—; WP. Kubica Ludwik z Zakopanego 2.—; WP. Walczak Tadeusz z Powidza 10.—; P.T. Zw. Naucz. Polsk. Okr. Lubelski 1.—; Ks. Prob. Mizia Stanisław z Niepołomic 3.—; P. T. Szpital Powiatowy w Kowlu 2.—; P. T. Zarząd Maj. Drzęczowo 5.—; P. T. Cukiernia „Semadeni" w Lublinie 1.—; Ks. Prob. Franc. Jonik z Kruźlowej 2.—; P. T. Zarząd Gminy Pacanów 2.—; P. T. Zarząd Gminy Dopiewo 1.—; P. T. Sodalicja Mar. Pań Miejsk. — Przemyśl 2.—; Ks. Superior Janowski 10.—; W. P. Grotowski Erazm z Warszawy 20.—; WP. Okoń Ferdynand z Łazisk 5.—; WP. Ostrowski — Bełza Kaz. — Lwów 2.—; WP. Miotr Antoni „Bazar" w Pucku 3.—; WP. Gęstwicki Wł. B. z N. Miasta Lubaw. 5.—; WP. Mużowa Maria z Wieliczki 5.—; WP. Kiłnej Jan z Cięciwy 2.—; WP. Zieleniewska Jadwiga z Krakowa 3.—;

WP. Zawiła Franciszek z Wadowic 2.—; WP. Kuczyński Leon z Torunia 1.—; WP. Dr. Węgliński Zygm. z Ostrowca Kiel. 1.—; WP. Prager i Czapor z Torunia 3.—; WP. Mgr. Krzysztoforski M. z Tarnowa 2.—; WP. T. Żurek z Lublina 1.—; WP. Makietowa Helena z Zakopanego 1.—; WP. Not. Wdówka Gustaw z Wadowic 5.—; WP. F. Romaszkan z Wadowic 3.—; WP. Porawska Antonina, Lwów 5.—; WP. Sułek Michał z Tarnowa 1.—; WP. Lamers Antoni z Krakowa 5.—; WP. Inż. H. Ziembicki z Dubna —.50; WP. Kolman Juliusz z m. Łodzi 60.—; WP. Dypl. Inż. Szulc Józef z Katowic 2.—; WP. Stachowski Władysław z Gostynia 1.—; WP. Steliński Ignacy z Lublina 10.—; WP. Jura Józef z Wadowic 1.—; WP. Dr. Zagórowski Zygm. z Warszawy 2.—; WP. Dr. Skibniewski Tad. — Zakopane 6.—;

Ofiary w naturze.

Od WP. Jana Żeleńskiego, właściciela majątku Grodkowice 2 m³ drzewa miękkiego; od WP. Ginnera, właściciela majątku Zborczyce, 2 m³ drzewa miękkiego; od WP. Obywateli Gromady Szarów, 1 m³ torfu. W-nych SS. Benedyktynek z Staniątek, 2 prosiaki i 2 mtr.³ drzewa miękkiego.

Ofiary z Ameryki.

Zł.: Ks. Michułka Val. West-Rutland 25 dol.; Ks. Stańczyk Józ. Polisch Church, Hatfield, Mass 78.—; Ks. Feresz Stanisław Polisch Church, Hadley Mass 100.—; WP. Kaspar Eleonora, Chicago, Ill. 42.20; WP. Rzepecki Andrzej, Phila, Pa 5 dol.; WP. Rzepecki Andrzej, Phila, Pa 3 dol. Ks. Wawer Franciszek, Bellows, — 17 cent.; Ks. Wawer Franciszek, Bel-Blows, Falls 10 dol.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowicie wynagrodzi w tym i przyszłym życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przezacnych Dobrodziejach

Ks. Feliks Skrzypkowiak, Dyrektor Zakładu.

FABRYKA PORCELANY

I WYROBÓW CERAMICZNYCH



ĆMIELÓW

S. A.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.

Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie.